

Niestrawne jagódki

11 stycznia 2018

Kilkanaście lat temu zdarzyło mi się jechać koleją z ciekawymi współpasażerami – niepozorną, najzwyklejszą starszą panią i jej dorosłym wnuczkem. Wnuczek chciał być dla babci uczynny, ale w praktyce okazywał się nadgorliwy w jej udziecinnianiu: „Babuniu, popatrz, jakie za oknem miasto, babuniu, a w gazecie papież, a może dla babuni jagódkę, taka dobra jagódka”. Zmęczona tym nadmiarem troski pani dosiadła się do współpasażerki, trochę młodszej od siebie, z opaską na włosach i w anilanowym swetrze, wyglądającej jak jedna z niepozornych, niewidocznych osób, pracujących w usługach na zapleczu świata, osób, które sprawiają, że rzeczywistość jakoś działa i toczy się z dnia na dzień. Od słowa do słowa, obie kobiety zaczęły wymieniać się ulubionymi łacińskimi sentencjami, a potem przeszły do rozmowy o Arystotelesie. Bawiły się wspaniale. Nie były to wcale księżniczki w przebraniu kopciuszków – pewnie po prostu chodziły do tuż powojennych szkół średnich, w których języków klasycznych nauczano powszechnie (do lat 1960.), i choć nie zostały osobami na tzw. stanowiskach, to wiedza i radość z niej czerpana zostały z nimi na dobre.



Wiem, że zabrzmiało to jak pouczająca opowiadka kończą życiowego Grzegorza Mateusiaka, być może brakuje jeszcze tylko

puenty „a potem cały pociąg wstał i zaczął bić brawo”. Ale co poradzić, musicie wierzyć mi na słowo. Nie mam ani talentu reportera-podsłuchiacza, ani dobrej pamięci, ale ta historia, która jakby spadła z nieba jako specjalna lekcja o nieoczywistości świata, włącza mi się w głowie od czasu do czasu. Zwykle wtedy, kiedy przypomina mi się druga anegdota, którą lubię opowiadać i pewnie przytaczałam już nieraz w innych kontekstach. Gdy legendarny bluesman Leadbelly opuścił więzienie i udał się w trasę koncertową ze zbieraczem amerykańskiego folkloru Johnem Lomaxem, ten chciał, by Leadbelly występował wciąż w drelichu i śpiewał surowe bluesy zza krat. To wywołało niezgodę między muzykiem a jego odkrywcą: jako wolny człowiek, już z wyrobioną marką, Leadbelly marzył o nowym garniturze i o tym, by grać miejski jazz, co uważał za naturalną ewolucję – wyrok zakończony, mógł już grać jak wolny człowiek. Lomax wołał zamrozić go w skamielinie „autentyzmu”, nie biorąc pod uwagę wyborów samego artysty.

„Zwyczajni ludzie” nie mają w życiu łatwo nie tylko ze względu na jego materialną prozę, ale także dlatego, że nie są traktowani serio, za to często – instrumentalnie. Każdy wstrętny i krzywdzący komentarz o „ciemnym ludzie”, „plebsie”, „niecywilizowanej hołocie”, których naczytaliśmy się w ostatnich latach o wiele za wiele i za które również na łamach „Nowego Obywatela” niejeden dostawał zasłużone bęcki, ma swój rewers w postaci fałszywej, instrumentalnej sympatii dla szarego człowieka. To czasami dobrze znana, stara chłopomania, ale czasami coś o wiele gorszego – instrumentalny, chytry paternalizm. Ten, kto stosuje takie metody, posługuje się wyobrażonym „zwykłym człowiekiem” jako pałką służącą do dzielenia jakiejś grupy, której aktualnie nie lubi. Na pewno znacie to doskonale.

Wyobraźcie sobie „ulubionego” publicystę (na pewno takiego macie), który nagrywa filmik o tym, jak szama prosto z puszek paprykarz szczeciński i zagryza pasztetową, choć na co dzień

na pewno jada lepiej, i opowiada przy tym, że wstrętne lewaki nie wiedzą co dobre, jedzą tylko trawę. Albo kiedy uznany aktor w wywiadzie przyznaje, że tak w ogóle to nie bardzo lubi towarzystwo ludzi, chyba że na Podkarpaciu, bo tam lud prosty, żyje zgodnie z intuicją i bez trucizn sączonych w niewinne dusze przez słowo pisane i nowoczesne wynalazki. Można oczywiście uważać, że gdzieś za Tarnowem zaczyna się jakiś średniowieczny park tematyczny, w którym prąd wytwarzają biegające chomiki, a mieszkańcy hołdują stylowi życia z czasów Piasta Kołodzieja. Jeśli jednak o czymś świadczą takie opinie, to o odklejeniu mówiącego, który Podkarpacie odwiedził chyba we śnie. Miałam znajomego z tamtych okolic, który żartował, że oczywiście, wszyscy mieszkają w skansenie w Sanoku – malowanie sobie podkarpackiego „czarnego luda” przez Warszawę to powracający refren. Tyle że w zależności od tego, kto mówi i w jakich okolicznościach, to albo ludek prosty a pocziwy, który uroczo klnie, albo demoniczna tłuszcza gotowa zdzielić za darmo sztachetą.

Można też, jak niektórzy robią dla szpanu, używać przeciętnego obywatela jako rekwizytu w swoim własnym teatrze jednego aktora. W latach 80. powstało określenie „trustafarians” na ludzi, którzy głosili pochwałę nieskomplikowanego życia, bo było ich na to stać – byli rentierami, gwiazdami telewizji czy dziedzicami fortun, a z hippisowskiej chatki na końcu świata, w której żyli prosto i zgodnie z naturą, mógł ich w razie potrzeby ewakuować prywatny helikopter. To o takich przypadkach śpiewał zespół Pulp w dość nieoczywistym przeboju „Common people”, którego bohaterka „chciałaby żyć jak zwyczajni ludzie”, choć oczywiście wcale nie musi.

Tymczasem w Polsce mamy to szczęście, że – o ile faktycznie nie jesteśmy spadkobiercami milionerów – w większości nie musimy udawać zwyczajnych ludzi, bo nimi jesteśmy. Oczywiście, ostatnie dekady przyniosły stopniowe pogłębianie się podziałów między ludźmi i izolację, a wiele drabin społecznego awansu połamano, ale pamiętajmy, że wciąż mamy niezłe zapasy, z

których można coś zbudować. Większość z nas chodziła do publicznych szkół, nadal istnieją darmowe studia dzienne i stypendia, wychowywaliśmy się często na nieogrodzonych osiedlach, gdzie sąsiedzi reprezentowali bardzo różne światy, a historie w poszczególnych domach to nadal pamięć różnych kolei losu, w tym przenosin ze wsi do miasta, faktycznych szans, jakie dała szkoła, biedy albo życia tuż nad kreską, pracy kiepskiej, żmudnej, ale dającej satysfakcję, a czasami żadnej. Różnice między nami istnieją i nieprawdą jest, że żyjemy w płaskim klasowo społeczeństwie, jak wydawało się niektórym, ale będę się upierać, że mamy szansę na budowę relacji opartych na solidarności i zrozumieniu, że dobro drugiego człowieka służy także nam.

Dziki kapitalizm zniszczył i podzielił bardzo wiele, ale nie unicestwił wszystkiego. W większości, jako obywatele, nadal jedziemy na różnych piętrach, ale jednak tego samego, niezbyt wysokiej jakości wózka. Znajdujemy się na spektrum niepewności i skromnego stanu posiadania – od bardzo skromnego, po „w porządku”, a zewnętrzne oznaki stabilizacji bywają makietą z tektury. Nawet stateczna menedżerka z lśniącego biurowca może swoją gorliwością w szlusowaniu do aktualnych standardów i mody maskować „słoikowe” poczucie niedopasowania (co zresztą jest zjawiskiem starszym niż III RP – o psychologicznych zawiłościach awansu społecznego mówi sympatyczny film „Warszawskie gołębie” z lat 80.). A ponieważ często ciuch od projektanta jest z lumpeksu, sushi z dyskontu, a dekoracje w stylu prowansalskim pochodzą z hurtowni „Upominex”, makietą może się okazać stosunkowo łatwa w demontażu. Kto wie, może dlatego taką popularnością cieszą się opowieści o latach 90., może sięgają po zwykłą pokoleniową nostalgię – przypominają czas, gdy kolorowe gazety trąbiły o tym, że każdy może zostać milionerem, ale z drugiej strony rzeczywistość sama uczyła o tym, jak różni bywają ludzie i ich życiorysy. Mogliśmy, mieszkając w domu jednorodzinnym, odwiedzić po lekcjach koleżankę z klasy w kamienicy bez łazienki, albo samemu mieszkając w kamienicy wpaść do mieszkania kolegi z bloku,

żeby pograć na amidze. Dorastającym w realiach, gdzie wszystko jest ogrodzone, wszędzie trzeba wpisywać kody i za wszystko trzeba płacić, ta nauka na pewno przychodzi trudniej – trzeba przekroczyć coś zastanego.

W eseju poświęconym obcości w literaturze science fiction Ursula K. LeGuin pisze: „Jeśli zaprzeczasz więzi z drugim człowiekiem albo grupą ludzi, jeśli twierdzisz, że są zupełnie odmienni niż ty – tak, jak mężczyźni zrobili to wobec kobiet, jedna klasa wobec innej, naród wobec narodu – możesz zacząć ich nienawidzić lub ubóstwiać, ale w każdym z tych przypadków zaprzeczasz waszej duchowej równości, ludzkiej realności. Zmieniasz ich w rzecz, z którą jedyna możliwa relacja to relacja oparta na władzy. W ten sposób dokonujesz zgubnego w skutkach zubożenia swojej własnej rzeczywistości. Wyobcowujesz się”. Myślę o tym zawsze, kiedy przypominam sobie sytuacje, w których lewicowcy wydają się podchodzić do możliwie szeroko rozumianego „ludu” jak do jeża. Boją się, nie wiedzą, jak się zachować, jak mówić o ludziach, z którymi sympatyzują i chcieliby okazać solidarność, wreszcie – wyobrażają sobie na ich temat niekoniecznie właściwe rzeczy. Na temat ludzi, którzy są przecież w zasięgu rozmowy!

Pytam siebie w duchu: co się z nami podziało? Dlaczego zachowujemy się, jakbyśmy odlecieli na różne planety? Jakbyśmy nigdy nie mieli sąsiadów, nie mieszkali teraz czy kiedyś na blokowisku, nie chodzili do publicznej szkoły i nie odwiedzali kolegów z klasy, a w dorosłym życiu nie łączyły nas relacje z ludźmi, którzy mogli pracować w zawodzie, o którym my nie mamy pojęcia, ale razem z nami łazili po górach, bunkrach albo słuchali podobnej muzyki? Co jest tym biletem na inną planetę, co stawia te bariery? Wykształcenie, nawet jeśli nigdy nie pracowaliśmy w zawodzie lub nie dotrwaliśmy do magistra? Praca? A może – o ironio – uświadomienie sobie, że w społeczeństwie nie wszyscy mamy równe szanse, co jakimś dziwnym sposobem sprawia, że zaczynamy się dystansować wobec kogoś, z kim niedawno moglibyśmy wypić piwo i porozmawiać o

zbieraniu płyt (bo „co on sobie o mnie pomyśli, muszę mieć salon wypisany na twarzy”).

Skąd się to bierze, to pouczanie i pielęgnowanie poczucia winy, samokrytyka zamiast faktycznej polityki, autoanaliza i przykrawanie się do wzorca zamiast bardziej praktycznego i empatycznego przymknięcia oka na różnorodność postaw ludzkich, przyznania, że ja jestem taka, a ty śmaka, ale łączą nas podobne cele, monitorowania drobiazgów zamiast stwierdzenia – ok, ale idź i nie grzesz więcej? Jest jakiś straszny paradoks w tym, że czasem wiedza i samoświadomość zamienia się w pancerz. Teoria habitusów Bourdieu, skądinąd bardzo odkrywczą w socjologii, przeniesiona na poziom rozmów międzyludzkich i osobistych postaw robi dziwne rzeczy z Polakami i Polkami. Widziałam najlepsze umysły mego pokolenia pochłonięte przez nieustanne rachunki sumienia. Czy może mi się podobać ta piosenka? Czy to wypada, czy nie wypada? Czy nie wydaję się za głupi lub za mądry? Czy moje gusta nie są elitarne albo przeciwnie, pozerskie? Jak Molierowski pan Jourdain, który po 40 latach uświadomił sobie, że mówi prozą, tak biedny, zdezorientowany sympatyk lewicy uświadamia sobie, że mógł mieć w życiu nieco więcej fartu. Świadomość różnych punktów startowych w życiu to sama w sobie dobra rzecz, bo czas najwyższy dać sobie spokój z mitem „od zera do milionera”, ale problem zaczyna się wtedy, gdy ta świadomość, zamiast oświecać, staje się ciężarem, o którym pisała LeGuin.

Tak powstaje uprzedzenie, z mieszaniny obaw i lęków: mogę zrobić coś złe, więc na wszelki wypadek będę się trzymać z daleka. Ktoś dotychczas znany staje się w naszych oczach obcym, człowiekiem z innego świata, niezrozumiałym; pogłębia się między nami rów, choć świadomość i empatia powinna raczej sprzyjać jego zasypywaniu. Wyobcowujemy się również wobec samych siebie. Jeśli jesteśmy wykształceni albo mieliśmy szczęście znaleźć dobrą pracę – zaczynamy się za siebie wstydzić, postrzegać swój (mimo wszystko nadal skromny) status jako barierę w komunikacji, ciężar większy niż w

rzeczywistości. Widziałam realizację tego scenariusza kilka razy i za każdym z nich wyglądało to podobnie: jakby bardziej świadomie deklarowany akces do lewicy sprawiał, że wcześniej zwyczajnie otwarty na świat (i prospołeczny w praktyce) człowiek wolał schować się do nory i pogрузić w nieskończonych debatach o tym, kim jesteśmy i dokąd tuptamy. Można poświęcać się wtedy w nieskończoność cyzelowaniu mowy i własnych przyzwyczajęń tak, by były jak najmniej dokuczliwe dla innych grup społecznych. Takie dyskusje odbywają się zwykle w niewielkich gronach, co czyni je niszowym sportem. Redaktorzy i czytelnicy „NO”, którzy słuchają metalu, a jest nas tu kilkoro, zapewne pamiętają tragicomiczne debaty sprzed kilkunastu lat o tym, kto nadaje się na TRVE metalowca, a kto już naraża się na pozerstwo; zwykle kończyło się to tym, że w zbiorze TRVE zostawała może jedna wzorcowa osoba. Po co doskonale pozbawiony uprzedzeń język, skoro nie zamierzamy go używać, skoro boimy się porozmawiać?

Ten lęk i pewna sztywność, samoalienacja – wszystko to może niestety przełożyć się na próbę rozmowy. Ktoś, kto nie jest pewien, jak mówić do drugiego człowieka w obawie, że ten jest „zupełnie inny niż ja”, zaczyna babciojagódkować, robiąc wrażenie takie, jakie zrobił – mimo najlepszych intencji – wnuczek z kolejowej anegdoty. Nikt nie lubi, gdy się ktoś nad nim, dorosłym obywatelem, pochyla i załamuje rączyny. Nikt nie chce, żeby mu na siłę wpychać nawet najsmaczniejsze jagódki. Nieco naiwną, ale może skuteczną (bo nie ma zmiany bez dozy naiwności) receptą na wyjście z tego stanu rzeczy jest dać się polubić, najlepiej osobiście. Szukanie poziomych płaszczyzn porozumienia, idących w poprzek podziałów narzuconych nam z góry. Za tzw. moich czasów, w latach 90. i wczesnych zerowych, takim wspólnym gruntem były subkultury. Dzisiaj mogą być to rzeczy powszechnie lubiane, jak sport, ciuchy, ogródek czy makijaż, albo nieco bardziej niszowe, jak stare auta, szydełkowanie albo UFO. Jeśli nasi rozmówcy są nieco starsi, mogą spokojnie zdeklasować wiedzą magistra, bo oczywistą rzeczą było dla nich oglądanie Teatru Telewizji i „Wielkiej

Gry", może czytanie wielkonakładowych magazynów w rodzaju „Przekroju” czy „Nowej Wsi”. To oni wygraliby z nami w „Jednym z dziesięciu”.

Stanisław Barańczak zastanawiał się w latach 70., dlaczego tak wielu widzów bynajmniej nienoszących cylindra i fraka kochało „Kabaret Starszych Panów”, ignorując jednocześnie łopatologiczne filmy i powieści milicyjne. Odpowiedzią był szacunek dla widza. Nie można bowiem podważać czyjejś zdolności do myślenia. Zakładać, że ktoś jest z zasady pozbawiony wyobraźni, umiejętności autorefleksji, poczucia humoru (w tym dystansu wobec samego siebie). Dzisiaj autorzy blogów i kanałów Youtube poświęconym teoriom spiskowym, płaskiej Ziemi albo Reptilianom, nie stronią od wykładania teorii filozoficznych (nawet jeśli są to teorie wzięte z kompletnie innego wymiaru, albo z pewnej części ciała) i wcale nie unikają trudnych słów. I chociaż opowiadają bajki, to trzeba oddać im sprawiedliwość, że realizują postulat Barańczaka o tym, żeby szanować swojego odbiorcę. Warto wziąć sobie to do serca. Nawet jeśli nasz obecny lub potencjalny znajomy, sąsiad, współpracownik nie ma czasu na czytanie powieści, nie znaczy to, że zna góra sto słów, a to, że ma daleko do najbliższej galerii sztuki, nie powoduje, że sztuki nie może zrozumieć. Dlaczego zakładamy, że nie można jednocześnie lubić grillowania i czytania książek, albo słuchać disco polo, poezji śpiewanej i Chopina, w zależności od humoru i okazji? Swoją drogą, czy wiedzieliście, że zespół Boys na początku inspirował się INXS i Duran Duran, a wczesne piosenki Akcentu to przeróbki standardów z „krainy łagodności”? No to już wiecie.

Polityka w życiu codziennym to także lekcja wyrozumiałości, zwłaszcza jeśli nie chcemy uprawiać gwiazdorskiej autopromocji, lecz zaprosić na wspólny pokład jak najwięcej osób. Kiedy byłam nastolatką, zdarzyło mi się na chwilę „przykucnąć”, uwierzyć w liberalizm i dać się oszołomić przekonaniu, że każdy jest kowalem własnego losu (na szczęście

ta chwila nie trwała długo). Hipiso-punki z małych miast nosiły wtedy koszulki z napisem „Każdy inny, wszyscy równi”, a ja dziwiłam się, co też oni wymyślają. Dzisiaj muszę ich przeprosić. Bo tak trzeba żyć.

Autorstwo: Olga Drenda

Zdjęcie: [misha95](#) (CC0)

Źródło: NowyObywatel.pl

O AUTORCE

Olga Drenda – dziennikarka i tłumaczka. Prowadzi stronę Duchologia (facebook.com/duchologia). Autorka książki „Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w latach transformacji” (2016).